

DZIEŁA ZEBRANE
TOM V

Pod redakcją Macieja Urbanowskiego

STANISŁAW REMBEK

Opowiadania okupacyjne

Państwowy Instytut Wydawniczy

Wspomnienia

Wrzesień

Opowieść o 1939 roku

„Mężczyźni na wschód”

Wczoraj dość późnym wieczorem, gdym skończył swoje codzienne zapiski, przybiegł do mnie Fagas.

Po dniu pełnym warkotu samolotów, wybuchów bomb, głucho postukiwania armat oraz terkotu karabinów maszynowych i przeciwlotniczych nastąpiła właśnie cisza tak martwa i duszna, że jego kołatanie do bramy odezwało się w niej radośnie i wesoło, niby odgłos zatajonego życia, które mimo wszystko woła o swoje prawa. Wybiegliśmy na podwórze oboje z Marysienką¹. Dzieci i Andzia już spały². Otoczyła nas ciemność, ale nie była to przejrzysta granatowość letniej nocy skrzającej się gwiazdami i mrugającej złocistymi oczami oświetlonych okien sąsiadów, ani też świeża, wilgotna i głęboka czarność lasu, tylko jakaś niezmiernie mroczna i ponura szarzyzna pełnego kurzu i całkowicie zaciemnionego miasteczka. Zaciemnianie bowiem, mimo że Niemcy nigdy dotychczas nie stosowali nocnego bombardowania, przestrzegane było z bezwzględną ścisłością. Toteż cała okolica pokryta była nocą niczym grubą sadzą. W kilku miejscach na niebie świeciły nad nią poziomkowe

1 Maria Dalewska r^ov. Dehnelowa (1901–1991) – żona Stanisława Rembeka od 1935 roku.

2 Maria Stępniewska z d. Dehnel (1931–2018) oraz Anna Dehnel – córki żony Rembeka z Augustem Dehnelem. Andzia – służąca Rembeków.

i różowe luny dalekich pożarów na kształt kagańców wokół olbrzymiej trumny. Trwały one nieruchomo. Dla naszych serc miały niezmiennie smutną wymowę. Streszczała się ona w jednym z najtragiczniejszych wyrazów, jakie ludzkość wszystkich ras włączyła do swego słownictwa. Wojna.

Fagas wsunął się przez otwartą furtkę szybko, zręcznie niby wpuszczony jamnik. Jego mała sylwetka na tle dalekiej luny wyglądała zabawniej niż zazwyczaj, tym silniej bowiem uwidoczniła się wielkość kapelusza, który nosił obyczajem większości ludzi małego wzrostu, przesadnie okazałego w stosunku do reszty mizernej postaci. Schylał ją teraz raz po raz, całując rękę Marysieńki. Potem chwycił moją dłoń i spojrzał na mnie, rzekłbym patetycznie, oczywiście, które świeciły mu wyraźnie w całkiem ciemnej twarzy.

– Przychodzę po pana porucznika.

Nigdy dotychczas nie używał wobec mnie żadnego z tytułów, do których bym mógł mieć jakiegokolwiek prawo, a zwłaszcza stopnia wojskowego uzyskanego w rezerwie. Widać więc było, że w ten sposób chciał zaznaczyć wojskową powagę chwili. Marysieńka wyczuła to natychmiast.

Przycisnęła się do mego boku całym swym ciałem. Przez chwilę odczułem przenikliwe wzruszenie na skutek tego naiwnie macierzyńskiego odruchu istoty słabej i bezbronnej wobec mnie silnego, bądź co bądź, i starszego od niej mężczyzny. Żeby je stłumić, zapytałem Fagasa:

– Po co?

– Nie słucha pan radia? Pułkownik Umiastowski¹ wy-

1 Roman Umiastowski (1893–1982) – pułkownik WP, historyk wojskowości, geograf, powieściopisarz. 6 września 1939 roku w nocy – jako szef propagandy w Sztapie Naczelnego Wodza – wezwał wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, a dotychczas niepowołanych do wojska, do bezzwłocznego opuszczenia stolicy i udania się na wschód, gdzie mieli zostać zmobilizowani. Apel ten wywołał panikę: przed świtem 7 września tysiące osób zaczęły opuszczać miasto; w efekcie Umiastowski został odwołany z funkcji szefa propagandy.

dał rozkaz ewakuacji wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Marszałek Śmigły-Rydz zapowiedział, że Warszawa na pewien czas znajdzie się w rękach nieprzyjacielskich. Tak więc zebrała się u mnie prawie cała ulica i czekamy tylko na pana, żeby wyruszyć.

Nie przejęły mnie zbytnio te wiadomości. Za wiele już słyszałem fantastycznych pogłosek w czasie wojny światowej, bolszewickiej i obecnej, żebym był zdolny czemukolwiek z miejsca uwierzyć. Pociągnąłem Fagasa za rękę, której nie wypuszczał z mojej dłoni.

– Chodźmy do mnie na górę. Pogadamy najpierw, lepiej się dwa razy zastanowić, niż raz zrobić głupstwo.

Było jeszcze zupełnie szaro, gdy obudziło mnie ponowne kołatanie do bramy. W ciągu dwóch minut zbiegłem wraz z żoną na dół, do kuchni. Czekał tam znów pan Fagas, którego tymczasem wpuściła nasza służąca, Andzia. Na mój widok powiedział jedno tylko słowo:

– Już!

– Dlaczego?

– Z Grodziska wywiały podobno wszystkie urzędy. W Milanówku nie ma ani policji, ani poczty. Niech się pan pakuje. Czekamy koło Kalenda. Musimy wyruszyć, zanim się pokażą niemieckie bombowce. Ja teraz pójdę do naszych, a pan dołączy, jak tylko pan będzie gotów.

Zbiórka odbywała się za parkanem ostatniego domu Grodziska, na niezabudowanym i nieogrodzonym placu, mającym kształt trójkąta. Po dwóch jego bokach biegły ku sobie ametystowe od brzasku drogi polne. Ciągnęły nimi co pewien czas pojedyncze postacie to policjantów w zgrabnych, granatowych mundurach i w sztywnych, okrągłych czapkach ze śnieżystymi denkami, to kolejarzy w ciemnych rogatywkach z różowymi wypustkami, to pocztowców w oliwkowych uniformach, to zwykłych cywilów

w popielatych kapeluszach i siwych kurzowcach. Wszyscy dźwigali walizki albo zielone plecaki na grzbiecie. Niewątpliwie ewakuacja była już nieodwracalną rzeczywistością.

Powietrze było fiołkowe, rżyska białą siwizną, trawa miała barwę popiołu, zorza wstawała jak pomarańcza, jednobarwna i bezobłoczna, zapowiadając w dalszym ciągu dzień suchy, pełen kurzu, dymów pożarnych oraz ciężkiej, nieznośnej świadomości ciężającej nad krajem zagłady.

Stała nas cała gromadka. Żona pana Fagasa, wysmukła, ciemnowłosa Węgierka czy Rumunka z Siedmiogrodu, w czarnej, obcisłej sukni, twarz miała bladą, mokrą od łez. Do Polski przybyła zaledwie siedem miesięcy temu, ale czuje się już Polką. Powtarza w kółko łamanym językiem:

– Ty, chłopak! Ty musi iść bić się!

Inne kobiety wraz z moją żoną mają twarze surowe, oczy suche i wargi zaciśnięte. Mówią krótko, półgłosem, chwytając przy tym co pewien czas powietrze ustami, jak wydobyte z wody ryby. Dwóch kolejarzy pomaga sobie nawzajem zakładać na barki plecaki sporządzone naprędce z worków, do których zostały przyszyte płócienne pasy. Dwóch ubogo odzianych robotników stoi pod płótnem w milczeniu, nieruchomo, z wielkimi zawiniątkami pod pachą. Są to wszystko sąsiedzi, znani mi jedynie z widzenia albo całkiem nieznani. Przedstawiają się mojej żonie, wyciągając ręce ruchem szorstkim, nadmiernie pewnym, właściwym ludziom pracy fizycznej. Rej wodzi mały, ospowaty a niezmiernie ruchliwy pan Fagas.

– Musimy zachowywać się bojowo. Idziemy przecież do wojska. Pan porucznik obejmie dowództwo.

Zapytałem wobec tego, kto z obecnych służył w wojsku. Okazuje się, że nie służył jeden tylko, około pięćdziesięcioletni, szpakowaty kolejarz. Drugi kolejarz, czarnowłosy i śniady jak cygan, o nogach zbyt krótkich w stosunku

do tułowia, co czyniło go podobnym do kaczora, był plutonowym rezerwy. Dwaj robotnicy, bracia Kowalscy, na wpół zresztą wojskowo odziani, byli kapralami rezerwy; jednym słowem – sami podoficerowie.

Następują rozdzierające sceny pożegnania. Kobiety chcą ruszać z nami. Nie ma o tym mowy. Rozkaz ewakuacyjny dotyczył jedynie mężczyzn. Zresztą pan Fagas nie pozwala nawet myśleć o czymś podobnym. Popieram go ze swojej strony wywodami zaczerpniętymi głównie z *Przyszłej wojny* Sikorskiego¹:

– Nie ma najmniejszego sensu opuszczać własne domy dobrowolnie. Nie jest to zresztą patriotyczne. Niebezpieczeństwo wojny lotniczej jest wszędzie jednakowe. Tutaj zresztą może minąć szybciej niż po tamtej stronie Wisły. Poza tym tłumy cywilnych uchodźców na drogach mogą niezmiernie utrudniać ruchy naszych wojsk.

Ruszamy wreszcie. Już po wejściu w pierwsze zabudowania Milanówka muszę pełnić swoją rolę dowódcy.

– Kryć się!

Chowamy się szybko pośród rzadkich krzaków brzoźowych, po dołkach i regularnie pociętych parowach. Są to leje od granatów oraz pozostałości po okopach rosyjskich jeszcze z 1915 roku.

Poprzez leciutką pianę porannych obłoczków czernieją rysujące się brutalnie krzyżyki niemieckich bombowców. Snują się pasemkami w rozmaitych kierunkach, niby owa-
dy utopione w gotującym się mleku. Jeden taki klucz prze-
latuje nad nami.

– Kryć się!

Przylegamy pod krzakami. Okazuje się jednak, że nie

1 Władysław Sikorski, *Przyszła wojna. Jej możliwości i charakter oraz związane z nimi zagadnienia obrony kraju*, Warszawa 1934.

jesteśmy jeszcze dostatecznie zgrani. Paru mężczyzn zrywa się zbyt prędko. Jeden z samolotów nurkuje gładkim ruchem pływaka i terkocze pospiesznie z karabinu maszynowego. Przerwy pomiędzy seriami wypełnia groźny szum lecących nad nami pocisków.

– Kłaść się, do pioruna!

Wychodzimy na szczęście cało. Umawiamy się jednak na przyszłość, że w podobnych wypadkach ja zawsze będę dawał hasło do wstawania, a dopiero po mnie będą przebiegali inni pojedynczo i pod nadzorem pana Fagasa. Dawało to później doskonałe wyniki. Przekonaliśmy się bowiem, że lotnicy są szczególnie czuli na wszelkie zjawiska ruchu na powierzchni ziemi. Miałem też niejedną sposobność ostatecznie utwierdzić swoje przekonanie, zdobyte jeszcze w czasie poprzedniej wojny, że przynajmniej dziewięć dziesiątych rannych i zabitych na froncie to ofiary własnego gapiostwa, nierozsądnego lekceważenia niebezpieczeństwa albo też braku doświadczenia. Stąd się zapewne bierze w obecnej wojnie ta ogromna liczba ofiar wśród kobiet i dzieci. Chociaż z drugiej strony muszę stwierdzić, że lotnicy niemieccy ze szczególnym upodobaniem polują na tego rodzaju przeciwników, jak również na krowy i gęsi. Być może, iż białe czy też barwne plamy stanowią dla nich najbardziej ulubiony, bo najjaskrawszy cel.

Już za Leśną Podkową dogania nas wyładowany po sam wierzch tramwaj podmiejski¹. Na nasz widok hamuje gwałtownie i przystaje. Wyskakują z niego dwaj zgrabni konduktorzy w sztywnych, brązowych czapkach.

– Siadajcie prędko, chłopaki! Są jeszcze miejsca.

Wpychają nas w ciżbę, podają przez okna nasze walizki. Obecni witają nas jak przyjaciół, robią miejsca siedzące

¹ Tu: pojazd kolejki podmiejskiej.